



Miasta i ich uniwersytety – uniwersytety i ich miasta

MACIEJ LITWIN

Jest luty 2012. Organizujemy wizytę ekspertów OECD¹ we Wrocławiu. Podczas wizyty eksperci będą spotykać się ze środowiskiem akademickim, władzami i biznesem – w sumie niemal z setką osób. Wizyta jest częścią przeglądu szkolnictwa wyższego w rozwoju miasta, który realizujemy wspólnie z OECD. W wyniku przeglądu OECD opublikuje raport o wrocławskich uczelniach w kontekście rozwoju miasta i regionu.

Przed spotkaniami informujemy uczestników o ich celu i formacie. Tłumaczymy: to nie jest konferencja, ale też nie audyt ani ranking; raczej wywiad, partnerzy są wnikliwi, ale i życzliwi; nie chcą rozmawiać o edukacji i badaniach w ogóle, ale o tym, co z nich wynika dla społeczności lokalnej w szczególności. Interesują ich trendy i opinie, ale jeszcze bardziej fakty. W przeglądzie chodzi o trzecią misję uczelni *par excellence*, o coś, czego dopiero się uczymy; nie chodzi o „doskonałość akademicką”. I wreszcie – w przeglądzie stawiamy w tym sensie sprawy na głowie, że dyskutujemy uczelnie i ich sprawy z perspektywy, która jest w dyskusjach o szkolnictwie wyższym nowa, w której nie określono jeszcze jasno kryteriów oceny.

O tym, ile przegląd, który właśnie się kończy, przyniósł Wrocławowi warto byłoby opowiedzieć przy innej okazji. Taką opowieść warto jednak poprzedzić refleksją ogólniejszą, która bierze swój początek w pewnym ciekawym wątku. Otóż kilkakrotnie po spotkaniach z ekspertami otrzymujemy zwrotną informację od niektórych uczestników, która brzmi mniej więcej tak: „Gdybym był wiedział, o co tutaj chodzi, to bym się był lepiej przygotował”.

Oczywiście, powody takiej reakcji mogą być banalne: brak czasu, aby zapoznać się z informacjami przygotowującymi spotkania, pośpiech. Ale po sześciu latach codziennych zmagania na froncie miasto–uczelnia–biznes, w tym od ponad czterech lat współtworząc Wrocławskie Centrum Akademickie, jestem skłonny zaryzykować tezę: to zdanie, „Gdybym był wiedział, to bym się był lepiej przygotował”, jest jednym z najlapidarniejszych ujęć pro-

blemu, z którym musi zmierzyć się dziś polski uniwersytet. Oto zewnętrzna siła – nazwijmy ją z braku lepszego słowa „współczesność” – dosyć intensywnie zabiera się do rozliczania współczesnych uczelni z jej pracy. I stawia pytanie: „A dlaczego wy nie robicie tego, co moglibyście robić dla społeczeństwa i gospodarki?”.

Rzecz zaś w tym, że jeżeli dziś polski uniwersytet nie realizuje w adekwatny sposób misji współpracy z biznesem oraz partnerami społecznymi, to jest tak dlatego, że został zaprojektowany do innych celów. Choć trudno do konstatacji tej dotrzeć przedzierając się przez tekst prawa o szkolnictwie wyższym, uniwersytet w Polsce jest nadal korporacją uczonych (finansowaną jednak przez państwo). Z pewnością zaś nie jest uczelnia „firmą”, świadcząca usługi edukacyjne, niezależnie ile by czasu poświęcić na retoryczną zmianę narracji uniwersyteckiej. Wnioski takie można wyciągnąć nawet nie sięgając do statutów uniwersytetów, gdzie znajdziemy zapisy o poszukiwaniu prawdy i swobodzie badań.

Uniwersytet swój kształt wziął z dawnych potrzeb Rzeczypospolitej, której dobro wymagało ciągłości elit zakorzenionych w chrześcijańskiej wspólnotce kultury. Wzrost nauk przyrodniczych w wiekach XVII i XVIII odmienił oblicze uczelni, wszelako nie kwestionując tego, że uniwersytet nadal skupiał wąskie grono wybranych. Kantonizacja i instytucjonalizacja nauki w wiekach XIX i XX nadal mieściła się w szerzej rozumianej elitarności. Nawet eksperyment komunistyczny, który elity „uludowił”, nie zmienił – jeżeli spojrzeć na wykształcenie uniwersyteckie – zasadniczych proporcji elita–ogół. To dlatego właśnie wydarzenia ostatnich dwudziestu lat, w tym wzrost liczby studentów o 500%, stanowią wydarzenie epokowe, bo świadczące o radykalnej zmianie roli instytucji, której charakter pozostawał z gruntu ten sam (choć przeniknięty różnymi prądami myśli i kultury) przez kilka stuleci. Ostatecznie bowiem wszyscy się zgodzą, że społeczeństwo, którego prawie połowa zalicza się do elity, ma trudność z rozumieniem słowa „elita”. ▶

¹ Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju z siedzibą w Paryżu.

► Zależność pomiędzy wykształceniem a zatrudnieniem w latach dziewięćdziesiątych i pierwszej dekadzie XXI wieku jednoznacznie tłumaczy popularność edukacji akademickiej. Czy uniwersytet zatem spłodził nowy stan? O to rzecz się rozchodzi. Jeżeli tak, to ten stan dziś prowokująco spogląda w stronę instytucji uniwersytetu: zapomnij o królu, kardynale, cesarzu a nawet o prawdzie, mówi. Spójrz na mnie – oto twój nowy mocodawca.

Dziś ten mocodawca, czyli żywiol Rzeczypospolitej, mówi do uniwersytetów głosem demokratycznych instytucji różnego szczebla. Spośród nich wyjątkowy mandat posiadają prezydenci wielkich miast wybierani od 2002 roku w bezpośrednich wyborach.

Żyjemy w dobie, którą wielu nazywa renesansem miast. Nie chodzi tylko o trend migracyjny na korzyść społeczności miejskiej. W miastach ogniskują się procesy, od których zależy stabilność gospodarcza i konkurencyjność. Dzieje się tak także dlatego, że właśnie w miastach skoncentrowane są instytucje związane z badaniami i wiedzą. Dla przykładu: 140 000 z 170 000 dolnośląskich studentów studiuje we Wrocławiu. Ludzie nauki odgrywają ważne role w kształtowaniu wspólnot samorządowych, zaś sama masa instytucji ma niebagatelny wpływ na organizację przestrzenną, transportową i sieć usług w miastach.

Nie dziwi zatem, że wrocławski samorząd śmiało podjął zadanie współpracy ze środowiskiem akademickim. Decyzja ta, choć oczywista, jeśli spojrzeć na fakty, nie jest jednoznaczna, gdyż przyjrząc się podziałowi kompetencji wynikającemu z polskiego ustroju. Samorządy miejskie są w rozumieniu ustawy dużymi gminami, choć posiadają cechy powiatu. Polskie prawo dopiero od niedawna uznaje, dla przykładu, prawo samorządów do przyznawania studenckich stypendiów. Kiedy we Wrocławiu działał pierwszy program stypendialny, sąd w Lublinie jeszcze zakazywał takiego działania.

Samorządy miejskie, choć ustrojowo pozbawione kompetencji w zakresie współpracy z uczelniami, posiadają kilka atutów z punktu widzenia uczelni istotnych. Może świadczyć o tym wrocławskie doświadczenie Programu EIT Plus, w wyniku którego w poprzedniej perspektywie finansowej Unii Europejskiej Wrocław stał się miejscem największej jednolitej inwestycji innowacyjnej w Polsce (ćwierć miliarda euro na jedno duże przedsięwzięcie). Taka koncentracja wokół wspólnego programu innowacyjnego była możliwa ze względu na aktywną działalność Prezydenta Wrocławia, który wiosną 2006 wystąpił w roli koordynatora środowiskowej inicjatywy, na tamtych etapach skojarzonej jeszcze ze staraniami o Europejski Instytut Technologiczny.

Pomijając specyfikę, wynikającą z osobistego zaangażowania Prezydenta Wrocławia w to działanie, warto zauważyć, że dotykamy sprawy ogólnej, poniekąd wynikającej z ludzkiej natury. Władze miast i władze uczelni, choć niewątpliwie działające w różnych obiegach instytucjonalnych i politycznych, łączy spoiwo stanowiące o celowości i jakości ich współpracy: spoiwem tym jest wspólny los, bezpośrednie przełożenie na codzienne doświadczenie życia zamykającego się w drodze z domu do pracy, poprzez spacer i zakupy. Miasta i ich uczelnie łączy wspólny horyzont poznawczy: odniesienia, tożsamość, duma. Z punktu widzenia samorządu jest to wręcz banalne spostrzeżenie (chodzi bowiem o jedną wspólnotę samorządową). W takiej optyce to zstępujące z Warszawy do wielkich polskich miast ciągi branżowych podległości jawią się jako abstrakcyjna nakładka na rzeczywistość.

Szkolnictwo wyższe w Polsce nie posługuje się z gruntu rzeczą kategorią, której zastosowanie ma fun-

damentalne znaczenie dla wszystkiego, co możemy kojarzyć ze służbą uczelni otoczeniu. Brakującą kategorią jest zakres terytorialnego oddziaływania. Uczelnie istnieją niejako po prostu, ich odniesieniem są obszary badawcze, tradycje naukowe, trendy światowe. Samorządy zaś zawsze rozgraniczają sprawy według kryteriów mających geograficzny sens. Dlatego tak trudno jest dzisiaj rozliczać polskie uczelnie z wyników ich działań. Jeśli odniesieniem szkolnictwa wyższego jest Polska lub sektorowe potrzeby, czyż nie znajdzie się zawsze takie uzasadnienie, aby niemal każdy kurs edukacyjny lub badawczy rzetelnie umotywować, odwołując się do danych statystycznych? Można to zrobić z pominięciem potrzeb społeczności, która znajduje po przeciwległej stronie ulicy.

Wrocławskie Centrum Akademickie jest instytucjonalnym eksperymentem, aby sprawy włączania uczelni w rozwój regionalny miasta uczynić rzeczywistością. Centrum realizuje projekty, inspirowane i prowadzi dialog interesariuszy oraz integruje środowisko naukowe. Realizuje przy tym dwa ważne cele: wsparcie uczelni w przeobrażeniach instytucjonalnych związanych z trzecią misją (dziś przede wszystkim chodzi o rozwój wrocławskiego rynku pracy) oraz wsparcie talentów akademickich (czego najlepszym przykładem było powołanie pierwszej w Polsce Akademii Młodych Uczonych i Artystów). Z punktu widzenia operacyjnego Centrum jest niewielkim przedsięwzięciem, ale jego znaczenie dla dialogu samorządu biznesu i uczelni jest znaczące i stale się zwiększa. Dzieje się tak także w myśl dynamiki lokalnej wspólnoty, o której wspominałem. Finansowo istotne, ale nie dominujące czynniki (pomysły, projekty) zyskują częstokroć większy wydzźwięk oraz wywierają większy wpływ na rzeczywistość akademicką, niżby to mogło wynikać z kwot brutto nakładów finansowych.

Dziś w stronę uczelni kieruje się w dyskusji publicznej sprzeczne oczekiwania. Powtarzany jak mantra zarzut o słabych wynikach w międzynarodowych rankingach przeplatany jest częstokroć pretensjami o niedostateczne skupienie się na potrzebach lokalnego rynku pracy. Tyle że w praktyce te dwa cele bywają ze sobą sprzeczne. Największe światowe uczelnie, te z rocznym budżetem równoważnym około 10 miliardom złotych, nie zajmują się potrzebami regionalnego rynku pracy. Od kiedy rząd Chin ustanowił warunki „gry w rankingi” tworząc tzw. listę szanghajską, wielkie światowe uczelnie zajmują się konkuroowaniem z innymi wielkimi uczelniami.

Niemal dwa miliony studentów w Polsce to dostatecznie dużo, aby pokusić się o zróżnicowaną ofertę szkolnictwa wyższego. Nie będzie się dało tego zrobić bez gruntownej przebudowy bazy decyzyjnej, w tym bez lepszej analizy danych społeczno-gospodarczych. Trudno wyobrazić sobie także postęp w opracowywaniu misji uczelni bez faktycznych odniesień terytorialnych, które – jak odkrywamy w końcu – stanowią największą szansę na wzmocnienie przewagi konkurencyjnej także w badaniach i edukacji.

Rzeczywistość melduje się przed rektorem polskiego uniwersytetu i zadaje kłopotliwe pytania. „Gdybyśmy byli wiedzieli, że o to będziecie pytać, to byśmy się byli lepiej przygotowali” – odpowiadają rektorzy.

Zatem próbujemy się przygotować – wrocławski samorząd i uczelnie.

MACIEJ LITWIN

Autor jest współtwórcą Wrocławskiego Centrum Akademickiego; kieruje Biurem Współpracy z Uczelniami Wyższymi we wrocławskim magistracie.

O anonimach w ogólności a nie w szczególności

Sądzę że administracja państwowa nie powinna rozpatrywać spraw przedstawionych jej anonimowo. Sądzę tak dlatego że większość z nas się zgadza, iż napisanie listu anonimowego nie jest rzeczą właściwą. Takie jest powszechne odczucie. Również uważamy że czytanie doniesień anonimowych nie mieści się w granicach przyzwoitości, a odnoszenie się do ich treści nie przystoi w przyzwoitym towarzystwie. Tym samym w środowiskach naukowych, i *last but not least* – administracji państwowej.

Rozpoczynanie procedur wewnętrznych w dowolnej organizacji na podstawie anonimowych doniesień nie wydaje się być właściwą metodą zarządzania. I to z dwóch względów: po pierwsze, może okazać się, że doniesienie nie jest istotne lub fałszywe. Wdrożona na jego podstawie procedura sprawdzająca, nawet jeżeli wykaże nieprawdziwość donosu, pozostawi pęknięcie w samej organizacji – rozdział między niesłusznie oskarżonym(i) i związanymi z nim ludźmi, a samą organizacją. Po drugie, organizacja reagująca na anonimy może zastać łatwo zniszczona ich falą. Jeżeli standardem ma być sprawdzenie, np. w obrębie jakiegoś pionu administracyjnego, doniesień anonimowych, to wystarczy pisać regularnie nieprawdziwe oskarżenia wobec poszczególnych członków tego pionu. Tak atakowane biuro, jeśli na anonimy reaguje podjęciem procedur wyjaśniających staje się magmą zajmującej się wyłącznie swoimi sprawami wewnętrznymi, a nie działalnością do której zostało powołane.

Myślę że np. internetowe oskarżenia dobrze ukierunkowane przez sprawnie działające obce siły mogą rozłożyć aparat takiego państwa, w którym administracja pilnie reaguje na anonimy. Anonimy winno się *ex titulo* wyrzucać do kosza, pozostawiając oczywiście miejsca na skargi i doniesienia obywatelskie niosące podpis.

Nie sądzę też, aby członek danego pionu administracyjnego winien o treści otrzymanego anonimu informować zainteresowanego czy gremium zarządzające. Samo takie zawiadomienie nadaje anonimowi bieg administracyjny, pieczętuje je nazwiskiem i funkcją rozpoczynającego sprawę członka administracji i nadaje anonimowi nienależną mu pozycję dokumentu oficjalnego.

Nie jestem idealistą. Nie myślę że wszyscy, co piszą anonimy, nie mają racji i zdaje sobie sprawę z tego, że niektóre z nich zawierają istotne informacje. Wiem że wielu ludzi nie podpisuje swoich doniesień bo boi się retorsji ze strony bohaterów swoich listów. I oczywiście wiem, że policja ceniła by sobie otrzymanie anonimowej

informacji np. o miejscu pobytu poszukiwanego przestępcy. Ale to policja – a nie urzędy państwowe. Tu zasada wyrzucania anonimów do kosza winna być jasno wyrażona – na piśmie i na stronach internetowych. Może temu towarzyszyć sugestia, by doniesienia anonimowe kierować np. do prokuratury. Tu taki list mógłby przecież fachowo być oceniony – czy zawiera doniesienia o łamaniu prawa.

Wzywam więc do tego, by w regulacjach dotyczących działania struktur państwowych wprowadzić jasną zasadę niereagowania na anonimy. A obywatelom, jeżeli już je muszą pisać, wskazać adres jakiejś instytucji oddzielonej od pozostałych elementów administracji.

Zmieniając ton na lżejszy, taka propozycja ma swoje precedensy historyczne – wystarczy wspomnieć o istniejącej w Republice Weneckiej *bocca di leone*, skrzynce wbudowanej w ścianę Signorii, z otwartą paszczą lwa, skierowaną na zewnątrz, gdzie zatroskany obywatel mógł złożyć anonimowo doniesienie o zauważonej nieprawidłowości. Ale członkowie Senatu osobiście anonimów nie przyjmowali, bo wiedzieli co znaczy *decorum* władzy. Doży – bycie skrzynką na anonimy – zdało by się niegodne, bo wiedział, że oficjalne wskazanie, iż władza żyje magłem, owej władzy uwłacza.

Pomysł wskazania jednego adresu przyjmującego anonimy, może nie do końca realistyczny, pociąga również z tego względu, że po wykorzystaniu zawartych w nich wiadomości zostałyby zarchiwizowane. Jakież ważne stworzyłyby to dla naszych potomków zasób dokumentów epoki. Pewnie równie ważny, jak ważnym jest dla historii Polski Jagiellońskiej nieśmiertelne dzieło Nekandy Trepki¹.

Kończąc chciałem dodać, że idea niezajmowania się anonimami jest bliska nie tylko mnie, ale i paru znajomym mi osobom – na pierwszym miejscu wymienię tu profesora Jana Woleńskiego.

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI

Instytut Biochemii i Biofizyki PAN

P.S. Niedawno, w jednym z naszych Ministerstw podjęto działania wyjaśniające, związane z treścią nadsyłanych anonimów. Poruszona w nich sprawa – o ile wiem – wydaje się mieć znaczenie dla naszego środowiska, tym niemniej... (odsylam do początku tego tekstu) W.Z.

¹ Walerian Zbylut Nekanda Sieciechowski Trepka, *Liber generationis albo Catalogus o tych, którzy de gente et progenie sławnego rodzaju Plebeorum początek swój i originem ducunt*, napisane: 1626–1639.

Gra o sumie zero

Jakiś czas temu, podczas spotkania w Urzędzie Rady Ministrów przy okazji wręczenia Nagród Premiera za osiągnięcia naukowe, spotkał mnie wielki zaszczyt: moja wypowiedź w spontanicznie zaaranżowanej dyskusji (gdy zebrani czekali na Pana Premiera, walczącego w tym czasie w Sejmie o przedłużenie wieku emerytalnego) spotkała się z gwałtowną repliką jednego z kluczowych członków Komisji Nagród. Problem – myślę – jest na tyle interesujący, że warto zaznajomić z nim Czytelników „PAUzy Akademickiej”.

Wywołany do tablicy przez Panią Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego, powtórzyłem to, co już od pewnego czasu staram się upowszechnić (również w tej rubryce), a mianowicie, że samo tylko rozwijanie konkurencji nie jest optymalną metodą sterowania nauką. Konkurencja winna koniecznie być uzupełniona przez współpracę. Zwracałem się do obecnych na sali laureatów, wśród których było wielu młodych ludzi, którzy – jak pamiętam z własnej młodości – mają naturalną inklinację do konkurencji (prawdopodobnie koniecznego, aby uzyskać – niezbędne w nauce – poczucie własnej wartości). Starałem się ich przekonać, że prawdziwy sukces przychodzi dopiero wówczas, gdy wybitny człowiek potrafi pociągnąć za sobą swoje środowisko, gdy jego otoczenie odniesie korzyść z jego sukcesu. Gdy więc sukces będzie wspólnym sukcesem zespołu – a jeszcze lepiej – całego środowiska.

Nie wiem czy kogokolwiek przekonałem, ale na pewno nie przekonałem mojego adwersarza, który wystąpił z ostrym atakiem sugerując (o ile dobrze zrozumiałem), że moja teza jest niezgodna z podstawowym prawem nauki, które mówi, że tylko najlepsi się liczą, a słabi muszą wypaść z gry. Podobnie jak w sporcie, liczy się tylko zwycięzca i nic innego.

Wynika stąd, że zapewne nie przedstawiłem moich tez wystarczająco jasno, ponieważ, gdyby nawet przyjął rozumowanie oparte o analogię ze sportem, wnioski nie są jednoznaczne. Po pierwsze, w nauce kryteria sukcesu nie są tak proste jak w sporcie. Nauka różni się jednak od biegu na 100 metrów. Raczej przypomina maraton, gdzie ważna jest strategia i dopasowanie tempa do własnych możliwości. A sukces jest oceniany nie na podstawie pierwszych 20 kilometrów, tylko na mecie. Po drugie, dzisiejsza nauka przypomina bardziej sporty zespołowe niż indywidualne wyczyny. A wiadomo, że gdy w jednej drużynie zawodnicy zaczynają ze sobą konkurować, zamiast współpracować, rezultat jest zazwyczaj fatalny.

Innymi słowy, prawa rządzące sukcesem w nauce nie są aż tak bardzo różne od tych obowiązujących w społeczeństwie: tylko w źle zorganizowanej zbiorowości życie jest grą o sumie zerowej, czyli, gdy jeden zyskuje, drugi musi stracić. Cała sztuka bogatych społeczeństw polega na tym, aby konstruować układ, w którym obaj partnerzy zyskują, albo przynajmniej mają szansę zyskać.

Wiem, że sprzeciwia się to polskiej tradycji, która zresztą ma solidne podstawy w naszych historycznych doświadczeniach, wzmacnianych również – niestety – przez dzisiejsze realia. Wiem, że po okresie, gdy dominowało niesławne „czy się stoi, czy się leży”, wprowadzenie konkurencji jest bardzo ważne. Ale tym bardziej powinniśmy podkreślać, że to współpraca jest kluczem do sukcesu. A konkurencja tylko złem koniecznym.

I oczywiście tak budować państwo, żeby to się sprawdziło w praktyce.

ABBA



Rys. Adam Korpak

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów i korespondencji oraz zaopatrywania ich własnymi tytułami. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.